Nr. 337.

Dodatek do „Gazety Narodowej”

z dnia 4. Grudnia 1898.

Świeży nabytek Stanów Zjednoczonych.

Lwów d. 2 grudnia.

Nie o Filipiny chodzi, ani o wyspy Zulu lub Karoliny, ale o daleko donioślejszy nabytek „Ameryki“, który wielce niepokoi Anglię i wszystkie państwa morskie. Polityka amerykańska pędzi naprzód lokomotywą, niedbając o nikogo; wszak na Hiszpanii ma dowód, że takzwana Europa na wskróś tchórzem przesiąkła. Takim krokiem, rzutem jest nabycie przez Stany Zjednoczone na stacyę węglową takzwanej L a g u n y C i r i q u i, położonej na wschodniem wybrzeżu środkowo amerykańskiej republiki Costarica. I teraz dopiero domyśla się Europa, co znaczyła wizyta prezydenta tej republiki w Waszyngtonie...

Londyński *Standard* donosi, że laguna ta jest znakomitym portem naturalnym, którego szereg wysp broni od fal Atlantyku, i który może nieograniczonej liczbie okrętów wojennych dać schronienie bezpieczne. Ciągnie się ta laguna daleko pomiędzy Greytown, gdzie się zapewnie pocznie kanał Nikaragna, a miastem Colon, gdzie się poczyna kanał Panamski. Geograficzne i strategiczne korzyści tej laguny są zdawna wiadome. Kapitan marynarki angielskiej już w r. 1839 doradzał rządowi, juścić napróżno, aby jaki port na tem wybrzeżu zajął. Obecnie rząd amerykański zrozumiał całą doniosłość posiadania pozycyi, panującej nad morzem Karaibskiem i stacyi węglowej na przyszłej nowej drodze wodnej (przez kanał) ku dalekiemu Wschodowi, i szybko nabył tę stacyę węglową w zatoce Chiriqui.

Podobno Anglia nie myśli tak łatwo przepuścić Ameryce nabycia stacyi w tym ważnym punkcie, w k t ó r y m s i ę w n i e d a l e k i m j u ż c z a s i e k r z y ż o w a ć b ę d ą d r o g i h a n d l o w e Z a c h o d u i W s c h o d u. *Standart* oświadcza, że wszelka aneksya na wybrzeżach republiki Costarica, a choćby tylko ufortyfikowania jakiego punktu wybrzeży Costariki i nawet jedynie tylko kolonizowania, jest wręcz naruszeniem traktatu Bulwer-Claytońskiego, między Anglią a Ameryką w r. 1850 zawartego, i gabinet angielski zapewne postara się o to, aby praw, jakie Anglia tym traktatem nabyła, nie porzucono bez dostatecznej kompenzacyi, czy to na przesmyku Amerykańskim, czy gdzieindziej.

A więc oporu Anglia nie stawiałaby, tylko żądała kompenzaty... jakiej ?... Czyim kosztem? w W Berlinie sprawa ta wielką budzi trwogę, i *Post* woła: „Sternicy zewnętrznej polityki Stanów Zjedn. krzątają się tak żywo, że inne państwa dotrzymać im kroku nie zdołają. Celem zaś, który się w ekspanzyjnej polityce Stanów Zjedn. z całą ostrożnością przebija, jest: opanować drogi przyszłego handlu świata.

Wskazuje na to namacalnie zabór Kuby, Portorika, Filipin i stacya węglowa na lagunie Chirigni. I to jeszcze nie koniec dalszych niespodzianek w środkowej Ameryce, zwłaszcza, że zamierzona federacya pięciu republik środkowo-amerykańskich teraz właśnie się rozbiła, i wpływ Stanów Zjedn. z każdym dniem się wzmaga“. Poprostu Niemcy obawiają się, że Ameryka gotowa im przeciąć drogę ową handlu świata, a byłaby to klęska straszniejsza od tej, jaką Francya poniosła pod Sedanem. Aleź Niemcy oświadczali, że im nic do Kuby, nic do Portorika, nic nawet do Filipin, choc tam na początku wojny swoją eskadrę były wysłały — niechaj sobie tam co chcą Amerykanie robią...

Książę gubernator.

Lwów 29 listopada.

Królewicz grecki Jerzy, w którego ręce mają przejść rządy sławnej od wieków wyspy Krety, urodził się w letniej rezydencyi królów greckich na wyspie Korfu w r. 1869. Wychowywano go starannie i usiłowano natchnąć patryotyzmem greckim. Wszystkie dzieci królewskie uczyły się wprawdzie innych języków europejskich, ale w domu rozmawiały z sobą tylko po grecku i to w języku ludowym. Co do ks. Jerzego, to opowiadają o nim, iż nawet w towarzystwie rodziców, którzy przenoszą angielszczyznę nad wszelki inny język, koniecznie starał się mówić po grecku.

Podobnym do Jerzego pod tym względem jest znacznie młodszy od niego ks. Jędrzej, który razu pewnego towarzysza swego rodowitego Greka boleśnie obił za to, że w obecności nauczycielki Angielki nie chciał z nim po grecku rozmawiać.

Anegdotka z czasów chłopięctwa ks. Jerzego opowiada o nim, że zapytany raz na dorocznym egzaminie przez ówczesnego prezesa gabinetu greckiego Kumonduros, jakie są granice Grecyi na północy, odparł bez namysłu:

— Na północy Grecya nie ma granic.

Ks. Jerzy dzięki wielkiej sile fizycznej, jaką go Bóg od urodzenia obdarzył, gdy był chłopcem wielkie miał poważanie w rodzeństwie. Przynajmniej siostra jego mała Aleksandra zawsze do niego uciekała po pomoc w sprzeczkach z następcą tronu ks. Konstantym. Jerzy miał raz tego starszego brata także nie ułamka, tak dobrze poczęstować, że mu ząb wybił i sińca na parę dni nabił pod okiem.

Gdy ks. Jerzy wstąpił do marynarki zaczęła się dla niego epoka rzetelnej pracy. Zajął się mianowicie flotyllą torpedowców, której znaczenie dla Grecyi od razu zrozumiał. Zazwyczaj pracował przez cały tydzień w arsenale na wyspie Salaminie, a tylko w niedzielę przyjeżdżał w odwidziny do domu. Mimo to, mimo że rzadko mógł się pokazywać Ateńczykom, stał się przecież najpopularniejszym z całej rodziny królewskiej. Herkuliczna postawa jego — jest najwyższym marynarzem w marynarce greckiej — i prostota obejścia się podobały się ludowi, niemniej jak i brawura księcia, z jaką ku przerażeniu wszystkich widzów nadbrzeżnych lubiał często całą siłą pary poruszać swój statek ku brzegowi i dopiero w ostatniej chwili zręcznym manewrem bokiem przysuwać go do bulwarku. Nie mógł też nie sprawić głębokiego na wszystkich wrażenia wypadek, w którym z narażeniem własnego życia na niebezpieczeństwo rzucił się na ratunek tonącego majtka.

Jest to natura czynna, to też służba marynarska przypadła mu do smaku i rzadko który oficer tak sumiennie spełnia swoje obowiązki, jak ks. Jerzy. Gdy podczas uroczystości otwarcia kanału Korynckiego prowadził flotę torpedowców i przedstawił się gościom zaraz na pierwszym torpedowcu w skarpetkach tylko na nogach, zajęty wydawaniem rozkazów, to istotnie nie sprawia wrażenia potomka królów, ale za to go majtkowie i oficerowie tem mocniej kochali.

W roku 1890 wyruszył z ówczesnym carewiczem Mikołajem w podróż na około świata i w Japonii zabił laską jakiegoś fanatyka, który się rzucił na carewicza. Z carewiczem łączyła go od kołyski niemal gorąca przyjaźń, bo za uratowanie życia dzisiejszemu carowi otrzymał złoty pamiątkowy medal od rodziny carskiej, a zapewne i w dzisiejszem wyniesieniu ks. Jerzego na gubernatorstwo Krety wdzięczność cara gra niemałą rolę.

Ks. Jerzy wita kłaniających mu się na ulicy wyłącznie ludowem wyrażeniem „giasas“ co znaczy zdrowia i wypowiedziane przez księcia wywołuje uśmiech na usta słuchacza. Książę lubi też, aby podziwiano jego olbrzymi wzrost i szerokie barki. Zadowolony jest, gdy tymi zewnętrznymi swymi przymiotami imponuje otoczeniu i pozwala nawet na delikatne przycinki z powodu tej swojej nadludzkiej postawy. W towarzystwie zwyczajnych ludzi jest najpunktualniejszym w świecie towarzyszem zabaw i rozrywek, a nawet najweselszym, bo całą duszą oddaje się zabawie.

Podczas uroczystości olimpijskich sprawował z wielkim zapałem nadzór nad terenem igrzysk, a w pewnej chwili zdobył głośny poklask wszystkich zgromadzonych w stadyonie widzów. Dwóch siłaczy biedziło się koło niego z olbrzymimi ciężarkami. Widząc to ks. Jerzy porwał ciężarki sam jedną ręką i odrzucił na bok i wtedy to wybuchł ogólny aplauz dla niego.

Ks. Jerzy miał dotąd jedyną tylko sposobność wystąpienia czynnie na arenie światowej, t. j. wtedy gdy go Grecya na czele floty wysłała na Kretę. Lud z entuzyazmzm patrzał jak ks. Jerzy wsiadał na okręt i jak na nim wsiadł, zdjął czapkę i przeżegnał się obyczajem majtków greckich, ale sam wódz nie miał zaufania do szczęścia swego kraju. Cudzoziemskim admirałom, którzy mu nie pozwolili wylądować na Kretę pod grozą strzelania z dział, odparł wprawdzie dumnie: „czyńcie panowie co wam wasze rządy nakazały czynić, ja zrobię to, co mi mój rząd nakazał!“ ale ostatecznie trzeba się było cofnąć przed armatami Europy.

Później wybuchła wojna z Turcyą a flota grecka w niej nie odegrała zaszczytnej roli. Wytoczono proces flocie i pokazało się, że ks. Jerzy był prawie jedynym, co znał flotę grecką naprawdę i wiedział ile jest warta jeszcze przed wojną.

Sylwetki teatralne z Krakowa.

IV.

Józef Kotarbiński.

Kocha sztukę nad wszystko. W niej i dla niej żyje, bez zacieśnienia się jednak w jednej gałęzi. Tak samo działa na jego wrażliwy na piękno umysł dobra, poważna książka, jak na wzrok udatne płótno lub mistrzowska rzeźba, na smak poezya, na słuch deklamacya wzorowa lub elokwencya albo na serce dźwięki niebiańskiej muzyki. Sztukę w każdym jej rodzaju rozumie i odczuwa ją wysoką inteligencyą i wrażliwymi nerwami. Trzeba jednak przyznać, iż przecież jeden rodzaj wywyższył nieco nad inne: oto umiłował on teatr, któremu oddał całego siebie nawet z niejaką krzywdą dla literatury. Od niej bowiem Kotarbiński rozpoczął w Warszawie chlubnie zawód i na tem polu dał się wkrótce poznać dzielny władacz piórem polemicznem, krytycznem i estetycznem. Ku czemu służyły mu takie właściwości jak wrodzona intelligencya, nabyte uniwersyteckie wykształcenie, bystry krytycyzm i wyrobiony smak. Rzucił a raczej zaniedbał jednak przed kilkunastu laty literaturę dla umiłowanej przez się sztuki dramatycznej, której jest wiernym i szlachetnym pracownikiem.

Kotarbińskiego jako aktora zna cała Polska, zna Warszawa, Lwów, Kraków i Poznań, zna Częstochowa, Lublin i Ciechocinek, Przemyśl, Tarnów i wiele innych miast, do których artysta urządza od czasu do czasu wycieczki zyskując zawsze uznanie dla talentu a cześć dla charakteru. Obok sztuki aktorskiej odznacza się on zaletą nie wielu artystom daną: posiada poziom wykształcenia taki, jakim mało aktorów pochlubić się może, to też nie przesadzę, zda mi się, gdy powiem, iż jest najinteligentniejszym wśród polskich artystów dramatycznych. W ślad za tem logiczną konsekwencyą jest to, iż przy doświadczeniu i poczuciu piękna jest on wyśmienitym reżyserem. Gdy odtworzy postać w dramacie lub komedyi widocznem jest głębokie opracowanie psychologiczne jej charakteru, gdy reżyseruje sztuką stara się ze skutkiem wyrzeźbić doskonałą całość. Do tryumfów scenicznych — wszak wiecie — nadzwyczajną mu są pomocą: piękna a urodziwa męska postawa, artystycznie zaokrąglone ruchy i przemiły, dźwięczny głos, którego harmonia cudownie oddziaływa na zmysł słuchu w czasie deklamacyi. Pod tym względem nie wielu ma równych. Nie mam zamiaru wysilać się na przypomnienie pamięci czytelnika wybitnych ról Kotarbińskiego; wszak znane są jego postacie zbrodniczego w zazdrości wojewody w „Mazepie“, subtelnie obmyślanego a zgłębionego królewicza-filozofa Hamleta, króla w „Talizmanie“ i wiele, wiele innych.

Największą przyjemnością artysty jest, gdy może „skoczyć“ do Berlina lub Wiednia, by zobaczyć nowe sztuki tam dawane i „przelecieć się“ przez galerye obrazów. Wtedy używa w pełni.

Ma też zasługi Kotarbiński na polu pedagogii. Jako b. profesor w warszawskiej szkole dykcyi, deklamacyi, oraz ucząc prywatnie wypuścił w świat dziesiątki osobników obojga płci, które dziś zajmują mniej lub więcej wydatne (stosownie do uzdolnienia) stanowiska w wielu teatrach większych i prowincyonalnych. Rzecz nie nazbyt zwykła w świecie szminki: oto Kotarbiński i jako kolega i jako przełożony (był bowiem przez parę lat reżyserem w Warszawie a następnie w Krakowie) lubiany jest szczerze przez współpracowników, którzy cenią w nim obok innych zalet prawdziwego koleżeństwa, iż stara się, by każdy aktor grał i każdy wedle możności od czasu do czasu miał rolę popisową. (*NB.* taką charakterystykę podał mi jeden z jego kolegów a sam zaświadczyć mogę, iż bez zawiści i zazdrości tak się raduje udatną grą artystów jak wtedy, gdy jego samego chwalą.)

Wracam jeszcze do literackich zajęć Kotarbińskiego, które, jak wspomniałem poświęcił dla ukochanej sztuki dramatycznej, jakkolwiek nie wziął z piórem zupełnego rozbratu. W ostatnich czasach (zwłaszcza, gdy w przeciągu dwóch ubiegłych lat obecna dyrekcya uznała za stosowne nie obarczać go pracą) napisał doskonałą książkę p. t. „Niezdrowa miłość“, która cieszy się sporem uznaniem i powodzeniem wśród czytelników, wygłaszał często odczyty, z których przednią była charakterystyka znakomitego pisarza Prusa oraz pisywał krytyczne sprawozdania o sztukach pięknych. Malarstwo i rzeźbę odczuwa i rozumie to też poglądy jego na nie odznaczają się indywidualnością, zdrowiem znajomością przedmiotu i długiemi studyami w sławnych galeryach Europy.

Jako człowiek ceniony jest dla zacności charakteru i ofiarności, z jaką spieszy wszędzie gdzie go wzywają, by znakomitą swą deklamacyą uświetnił program dobroczynnego rautu lub koncertu. W życiu towarzyskiem bierze chętny udział, a dom jego dzięki tym wymienionym zaletom oraz umiejętności jednania sobie przyjaciół jego małżonki (nawiasem dodać należy dzielnie uprawiającej ideę zastosowania sztuki do przemysłu za pomocą malowidła i wypalania na drzewie) — jest prawdziwym a jedynym w Krakowie salonem artystycznym, w którem gromadzą się literaci i dziennikarze, poeci, muzycy, artyści dramatyczni, malarze i rzeźbiarze, tudzież ludzie nieobojętni dla sztuk pięknych. Ktokolwiek z nich przejeżdża przez Kraków z Warszawy, Lwowa lub Poznania o mieszkanie ich zawsze gościnnie otwarte przy ulicy Radziwiłłowskiej 15 zawadzić musi.

A jednak ma pan Józef obok tych wszystkich pięknych zalet wadę straszną: (Aż się boję ją wymienić) jest czasem... roztargniony. Gdy mówi o sztuce, gdy o niej rozprawia starając się w dyspucie przeciwnika zgruzgotać argumentami (nie rzadko bywa zwycięzcą) zapomina o wszystkiem i potrafi np. wkładać korek do szklanki zamiast do butelki, usiłować zapalić palącą się świecę i t. p. Nieprawdaż wada to wielka? I ją jednak należy uznać jako zaletę: dyskutując widzi przed sobą cel, przekonania kogoś nie zważa więc na wymieniane drobnostki.

* * *

Takim jest Józef Kotarbiński. Sympatya i uznanie, jakiemi się cieszy, najwymowniej okazały się w tych czasach, gdy jawnie wystąpił jako kandydujący na stanowisko przyszłego kierownika teatru krakowskiego. Zewsząd zbiera już owoce swej artystycznej, reżyserskiej i literackiej działalności, gdyż opinia publiczna (o ile puls jej słuch podpisanego odczuć i wyrozumieć zdołał) bardzo życzliwie i przychylnie zamiary jego przyjęła. Zachętę i poparcie w niedwuznacznych dowodach znajduje na każdym kroku.

* * *

W dniu 1 t. m. odbył się benefis Kotarbińskiego, który świetnie przedstawił widzom postać Keana w starej komedyi Dumasa, zasługującej na wznowienie o tyle tylko o ile chodzi o aktorski popis jednostki. Z całości doskonałej podnieść należy scenę napadu obłąkania, jakiemu ulega Kean grający Hamleta, widząc swą ukochaną flirtującą w teatrze z księciem Walii.

Prócz benificyanta zasługuje na wyróżnienie p. Przybyłkówna, Zapolska i Pomianówna oraz pp. Roman, Zawadzki i Stępowski (świetny sufler-przyjaciel). Rola księcia Walii dostała się w niewłaściwe ręce...

Huragany oklasków po każdym akcie, niezliczone wywoływania, cztery kosze kwiatów, trzy laurowe wieńce i spinki z brylantami dowodzą, jaką miłością i uznaniem cieszy się tu Kotarbiński. Kasę teatralną zamknięto na dwie godziny przed przedstawieniem. Od paru lat nie pamiętają tu podobnego wypadku.

Kaźmierz ze Lwowa.

Pomoc po klęskach.

Lwów, 1 grudnia.

Wielkiego znaczenia powstał projekt w wiedeńskich kołach poselskich i z udziałem Polaków coraz bardziej zbliża się ku urzeczywistnieniu.

Oddawna widziano i wiedziano, że rok rocznie zimą czy latem nawiedzają klęski elementarne w Austryi ludność całych okolic, miast, albo tylko wsi. Takie masowe nieszczęście wywoływało powszechne współczucie, ale pomoc materyalna była nierychłą i niedostateczną. W razie pożarów, wylewów wód, wielkich gradów, pomoru itd. ani władze nie mogły w większej części wypadków podać skutecznej pomocy nieszczęśliwym, ani dobroczynność prywatna, rozbita na wielką liczbę większych i mniejszych celów nie była w możności skupić się w danej chwili szybko i energicznie około jednego wyłącznie celu.

W kołach poselskich wiedeńskich rozważano złe skutki takiego stanu rzeczy i aby im zaradzić powzięto myśl zorganizowania, scentralizowania dobroczynności publicznej. Do tego celu ma służyć projektowany „związek ludów“, stowarzyszenie ku niesieniu natychmiastowej, jak najobfitszej materyalnej pomocy dotkniętym klęskami elementarnymi w Austryi.

Inicyatorzy „związku ludów“ wychodzili z założenia, że jeżeli poczucie jedności państwowej jest u rozmaitych ludów w Austryi tak silne, iż nakazuje im zapominając o prywacie w parlamencie, dbać wspólnie o dobro całości, a na polach bitew przelewać wspólnie krew za wspólną ideę, to z równą słusznością można się spodziewać, iż wszystkie ludy austryjackiego państwa gotowe będą zapisać się w poczet „związku ludów“ stowarzyszenia zupełnie neutralnego, a służącego jedynie wzniosłemu i świętemu przykazaniu czynnej miłości bliźniego. Tam gdzie się zdarza sposobność otarcia łez nieszczęśliwym dotkniętym klęskami elemyntarnymi, pospieszyć powinni wszyscy bez różnicy przekonań, jeżeli tylko czują się dobrymi ludźmi i bliźnimi.

Protektorat nad „związkiem ludów“ przyrzekł objąć arcyks. Rajner, a inicyatorzy stowarzyszenia zamyślili skorzystać ze sposobności jubileuszu cesarskiego i wydać w grudniu br. odezwę do ogółu, wzywającą do założenia projektowanego przez nich towarzystwa.

W ciągu półwiekowego swego panowania ręka cesarska nigdy się nie zamknęła przed prośbą o pomoc, toteż dzień jubileuszowy takiego monarchy z pewnością dobrze został wybrany do zachęty do jak najliczniejszego udziału w „związku ludów“. Cesarz z pewnością myśli „związku ludów“ przyklaśnie a i duch ś. p. cesarzowej Elżbiety, która sercem odczuwała wszelką nędzę ludzką, błogosławi bez wątpienia z tamtego, lepszego świata takiemu przedsięwzięciu.

Taka instytucya „związku ludów“ będzie czemś jedynem w swoim rodzaju i przynieść może tylko zaszczyt tak całemu państwu, jak składającym się na nie poszczególnym społeczeństwom narodowym, bo oprze się na tej prawdzie, iż dobrze czynić jest nietylko obowiązkiem, ale i roskoszą dobrego serca.

Do „związku ludów“ należeć mogą wszyscy bez wyjątku — ubodzy i bogaci, korporacye i stowarzyszenia, gminy i kluby, słowem wszyscy, Wszyscy mieszkańcy Austryi, czy są osobami fizycznymi, czy tylko prawnymi powinni się połączyć w „związku ludów“ w wielką armię, walczącą z nędzą, głodem i niedostatkiem.

„Związek ludów“ będzie rozporządzał dwoma funduszami: funduszem pomocy, który będzie corocznie wyczerpywany i funduszem rezerwowym, nietykalnym. Gdyby każdy właściciel domu czy chaty w Austryi zapisał się

do „związku ludów" i tylko 10 ct. na rok złożył w jego kasie, toby „związek" mógł rocznie mieć 318.130 zł. na zapomogi dla pogorzelców i dla rodzin chłopskich, pozbawionych skutkiem klęsk elementarnych chleba. Gdyby znowu każda z 58.000 gmin w Austryi złożyła tylko 5 zł. na cele „związku", toby po 20 latach urósł z tego kapitał 5,890,000 zł. od czego procent dałby 176.700 zł. na zasilenie funduszu zapomogowego. Tym sposobem „związek", instytucya wiecznej i nieustannej pomocy miałaby co roku pół miliona do rozdania między nędzarzy.

Właśnie teraz wydaną odezwę, zachęcającą do wstępowania do „związku ludów" podpisali z posłów polskich: Włodzimierz Gniewosz i dr. Piotr Górski, a z ruskich Anatol Wachnianin.

ROZMAITOŚCI.

Berety teatralne. Litując się nad niedolą przeważnie rodu męskiego, który w teatrach za kapeluszy damskich nie widzi kawałka sceny, moda paryska wymyśliła ubranie głowy, pozwalające kobietom siedzieć w teatrze z nakrytą głową, a jednak nie przeszkadzać sąsiadom patrzeć. Jest to berecik z miękkiego materyału, lekki jak obłoczek, wygodny, tak jednak duży, że okrywa cały wierzch głowy. W chwili, gdy dama wchodzi do krzeseł, na berecie widnieje wspaniały pióropusz, złożony z piór strusich lub innych. Dama siada, widzowie, których losy umieściły tuż za damą, zaczynają wzdychać i żałośne wydawać jęki, w chwili jednak, gdy kurtyna idzie w górę — o dziwo! — sąsiedzi damy widzą całą scenę i w niczem ich pióro strusie nie krępuje! Pióropusz znikł gdzieś w chwili podniesienia kurtyny! Nie znikł, lecz przeniósł się na kolana damy, skąd podczas aktu brany będzie do rączek, ilekroć zajdzie potrzeba użycia wachlarza. Po opuszczeniu kurtyny w akcie ostatnim pióropusz znów wędruje na beret i przystraja go wedle woli właścicielki pióra i beretu. Do utrzymania pióra w porządku istnieją na berecie osobnej budowy klamry ze złota i masy perłowej.

Starożytne szpitale. W Badenie, małem miasteczku szwajcarskiem, położonem w kantonie Argowii, odgrzebano szczątki szpitala rzymskiego. Ze stanowiska sztuki owa pozostałość nie jest doniosła, lecz te ruiny zainteresują archeologów ze względu, iż są pierwszym żywym dokumentem, który nas doszedł, świadczącym o istnieniu szpitali w czasach starożytnych. Dotychczas nie znajdowano śladu ich nigdzie, ani w Pompei, ani w Timgad, choć przechowały się tam wszystkie domy i gmachy, służące do publicznego i prywatnego użytku. Żaden z autorów greckich, ani rzymskich nie pozostawił opisu zakładów tego rodzaju. Tylko Hipokrates w krótkim i niejasnym wstępie czyni wzmiankę, że pielęgnowano chorych w świątyni Eskulapa. Skład ruin badeńskich nie pozostawia żadnych wątpliwości pod względem ich pierwotnego przeznaczenia. Gmach składa się z czternastu małych izdebek, w których odnaleziono dużo instrumentów medycznych i chirurgicznych, szczypczyków, łyżeczek, wag, pudełek z maściami itd. Sądząc z pewnych poszlak można przypuszczać, że był to szpital Czwartego i Piątego Legionu, które miały swoją główną kwaterę w Badenie.

Szabla i kropidło. Wszystkie żywioły podejrzane, niepewne i nieuchwytne we Francyi łączą się obecnie w jednem tj. w tem, iż wmawiają w armię i duchowieństwo katolickie spisek na szkodę rzeczypospolitej. Żywioły te pod pozorem walki ze zjednoczoną z kropidłem szablą wtrącają kraj w coraz głębszą przepaść anarchii. Niedawno zaszedł nowy epizod w tej walce z szablą i kropidłem. Od pewnego czasu stosunek liczebny uczniów w szkołach średnich francuskich, utrzymywanych przez duchowieństwo, do uczniów szkół rządowych, zaczyna się układać widocznie na korzyść pierwszych. Różnie to objaśniają, faktem jest, że warstwy zamożne, w ślad za arystokracyą, popierają szkoły katolickie. Otóż skrajni radykali chcą na nowo wszcząć i w ostrzejszej jeszcze formie kampanię Ferry'ego z przed lat 17—18. Kampania w obronie nielegalnego skazania Dreyfusa, przypisywanego wpływowi oficerów, wychowanych w szkołach jezuickich, daje im do tego sposobność. Rada departamentu Sekwany uchwaliła życzenie, aby urzędy publiczne powierzane były wyłącznie wychowańcom szkół rządowych, a deputowani Levrand i Rabier postawili w izbie poselskiej wprost wniosek zniesienia „prawa Falloux" z r. 1850, zapewniającego swobodę nauczania, wniosek zakazu nauczania duchownym i ścisłego monopolu państwowego szkół. Prawica parlamentarna przez usta Cassagnaca — gwałtownie, a hr. de Mun — wymownie protestowała, oczywiście, przeciw temu wnioskowi: ale oprócz prawicy i socyalista Millerand oświadczył się przeciw temu ograniczeniu swobody (inny socyalista Vaillant, przeciwnie, za niem).

Millerand wskazał, jako środek, mogący nazawsze uwolnić rzeczpospolitą od groźby tzw. klerykalizmu, oddzielenie kościoła od państwa. Prezes ministrów, Dupuy, sam były profesor, nie był za tym środkiem, ani za zniesieniem swobody nauczania, ale zapowiedział wniesienie projektu prawa o stowarzyszeniach, któryby ograniczył prawo kongregacyi do posiadania majątków z zapisów, bo te, ciągle się mnożąc, zbyt wzmagają ich potęgę. Napaści tedy na katolicyzm we Francyi w dalszym ciągu trwać będą, i to coraz gorsze, oby tylko tymczasem sama Francya nie poniosła niepowetowanej szkody.

Próba miłości. Dwie robotnice angielskie zakochały się w jednym i tym samym chłopcu. Pewnego razu, w godzinie zwierzeń, wszczęły spór, która z nich cieszy się wzajemnością. Dziewczę nr 1 twierdziło, że jej właśnie los szczęśliwy przypadł w udziale, dziewczyna nr 2 mówiła to samo o sobie. Nakoniec postanowiły wystawić cel swoich westchnień na próbę i uchwaliły, że każda wezwie chłopca listem do siebie na jedną i tą samą godzinę. Oczywiście do obu nie będzie mógł pójść jednocześnie i wybierze jedną, tę właśnie, którą kocha. Wyszły tedy z domu pospiesznie, aby kupić odpowiednio różowego papieru i — przed bramą domu spotkały cel marzeń dziewiczych. Chłopiec spieszył się, mówiąc, że zostawił gdzieś parasol i idzie go szukać, boi się bowiem, aby mu nie zginął. Dziewczęta przyniosły papieru, wystosowały dwa listy i wysłały je pod właściwym adresem. Minęła godzina oznaczona, dziewczyna nr 1 czekała napróżno. Ha! widocznie rywalka była szczęśliwszą. W samej rzeczy tak było. Chłopiec udał się w oznaczonej godzinie do dziewczyny nr 2. Nic dziwnego! List dziewczyny nr. 1 brzmiał: „Kochany Wiliamie! Przyjdź dziś do mnie o godzinie 5 popołudniu. Jeżeli nie przyjdziesz umrę" — dziewczyna nr 2 wysłała list taki: „Kochany Wiliamie! Przyjdź dziś do mnie o godz. 5 popołudniu. Zostawiłeś u nas swój parasol..."

Bitwa pod Aduą, w której wojsko abisyńskie tak fatalnie poturbowało Włochów, nieprzewidziane kłopoty sprawia konsystorzom włoskim. Oto w krwawej tej bitwie poległo 4.340 żołnierzów włoskich, urzędownie jednak stwierdzono śmierć tylko 36. Wobec praw obowiązujących poddany włoski, którego śmierci, urzędownie nie stwierdzono, uważany jest za umarłego dopiero w 37 lat od chwili zniknięcia. Po tym dopiero terminie wdowa może wyjść powtórnie za mąż, a spadkobiercy mają prawo podzielić się spadkiem. Tym czasem konsystorzę oblegane są przez wdowy po poległych, które radeby powtórnie wyjść za mąż. W tem położeniu parlament włoski uchwalił, iż 4300 żołnierzów, poległych pod Aduą, należy uważać za wykreślonych z listy żyjących w dwa lata od chwili zawarcia pokoju. Prawo to da możność pocieszenia się wszystkim „niepocieszonym" wdowom przed upływem fatalnie długiego terminu — 37-letniego.

Składki na Wawel. Dnia 27 bm. odbyło się w mieszkaniu p. Seferowiczowej otwarcie skarbonek składkowych na odnowienie Wawelu. Ze skarbonek nadesłanych przez pp. Bałabana, Bank krajowy, dr. Barszczkiego, Budzynowską, gal. bank kredytowy, gal. kasę oszczędności, Gaberlowę, cukiernię Grossa, M. Jankowskiego, Mikołaja Ludwiga, hr. Felicyę Mierową, Musiałowicza i Janika (2 puszki), Karola Przybylskiego, Seferowiczową, Stachiewicza, Stachiewicza i Abrysowskiego, Szkowrona, Töpfera i Winklera uzyskano ogółem 62 zł. 53½ ct. Gotówką nadesłali: trafika spec. Bilińskiego 7 zł. 23 ct. Stanisława Bursa z Kosowa 2 zł. August Dąbrowski z Zaleszczyk 5 zł. dr. Głowiński z Sokala 5 zł. 12 ct. Antoni Kasprzycki z Jarosławia 2 zł. 16 ct. Ignacy Krasicki z Bachórca 5 zł. 25 ct. Moysa z Rudnik 1 zł. 47 ct. kolej państwowa z głównego dworca lwowskiego 2 zł. 47½ ct. Sabath starosta z Kosowa 4 zł. 40 ct. redakcya *Słowa Polskiego* 7 zł. 70 ct. z wista w Kosowie 3 zł. 87 ct. ks. kan. Zauderer z Łańcuta 8 zł. razem 49 zł. 67½ ct. Ogółem zebrano przeto 112 zł. 21 ct. które wraz z procentem za I półrocze 1898 od ulokowanego dotąd kapitału złożono na książeczkę gal. kasy oszczędności nr. 66.571.

Ogółem wynosi obecnie stan tej książeczki 938 zł. 90 ct. — Suma zebrana przez komitet wynosi ogółem 6066 zł. 74 ct. z czego odesłano w swoim czasie na ręce p. Ulanowskiej do Krakowa 5182 zł. 84.